

848

MARYAN GAWALEWICZ.



Preludyum Szopena

OBRAZEK DRAMATYCZNY
W JEDNYM AKCIE



W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

**Spis Sztuk, które w moim Składzie
można nabyć.**

| | |
|---|----|
| Cacusia. Operetka w 1-ym akcie. Osób 5..... | 50 |
| Chłopiec Studokатовy, czyli zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem. Osób 11. | 50 |
| Cudowne Leki. Obrazek wiejski w 1 akcie ze śpiewami i tańcami. Osób 7. | 50 |
| Czuła Struna. Komedyo opera w 1-ym akcie. O- sób 4. | 50 |
| Dziecko Miłości, utwór dramatyczny Osób 7... | 50 |
| Górną Pieśń, albo praca i sztuka. Obrazek ludowy w 4 aktach ze śpiewami tańcami. Osób 21.. | 50 |
| Nad Wisłą. Krotoczwila w 1-ym akcie ze śpie- wami. Osób 6. | 50 |
| O Chlebie i Wodzie. Krotoczwila w 1-ym akcie ze śpiewami. Osób 3. | 50 |
| Ostatnie dwa ruble. Farsa w 1-ym akcie. Osób 5. Cena | 50 |
| Piosnki Tyrolskie, czyli Skarb za kominem. Ope- retka w 1-ym akcie. Osób 4. | 50 |
| Przekleństwo Matki. Dramat w 3-ch aktach ze śpiewami. Osób 12. | 50 |
| Syn Wolności. Obrazek dramatyczny w 3-ch aktach, przez K. Vagera. Osób 23. | 50 |
| U przekupki. Krotoczwila w 1-ym akcie Osób 5. . | 50 |
| Wścikły Student, albo Studenckie Figle. Krotoc- zwila w 1-ym akcie. Osób 5. | 25 |
| Wyrodna Córka, czyli Przekleństwo Matki. Dra- mat w 3-ch aktach ze śpiewami. Osób 21 .. | 50 |
| Zosia Druhá. Monordam w jednym akcie ze śpiewami. Osób występuje 3. | 50 |
| Żydowkie Swaty. Obrazek dramatyczny ze śpie- wami. Osób występuje 7. | 50 |

Copyright by W. H. Sajewski

1916

Chicago, Ill.

Preludyum Szopena

Obrazek dramatyczny w jednym akcie.

Maryan Gawalewicz.

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

OSOBY:

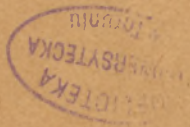
Laura.

Ewa.

Ludwik.

Daniel.

(Rzecz dzieje się na wsi.)



AE 940771

K. 157/02

(Scena wyobraża salon bardzo gustownie urządzony, w głębi dwa okna, drzwi do ogrodu, drzwi po bokach, po prawej stronie fortepian; zmrok, scenę oświetla duża lampa na fortepianie stojąca, przyćmiona umbrelką: jedno okno otwarte.)

SCENA I.

Laura, Daniel.

(Po podniesieniu kurtyny Laura gra czas jakiś preludium A-dur z wielką expressyą: Daniel stoi u otwartego okna i słucha. — Chwila milczenia.)

Daniel (padając w takt melodyi, zaczyna deklamować.)

Leżę na obłoku
Roztopiony w ciszę.
Mgłę mam senną w oku,
Oddechu nie słyszę;

Fijołkowej woni

Opływa mnie morze,
Dłoń złożony w dłoni,
Lecę, płynę gdzieś...

Nie wiem, gdzie, czem jestem
Czym anioł na poły?
Bo z cichym szelestem
Migają anioły.

Chyba Bóg określi
Moją słodycz... (urywa nagle.)

Laura (grając dalej.)
Nie pamiętasz pan końca?

Daniel (hamując wzruszenie.)
Tak — nie pamiętam...

Laura.
To ja panu przypomnę: .(deklamuje przy
muzyce.)

Chyba Bóg określi,
Moją słodycz — Boże!
Ach, nie budź mej myśli,
I serca nie wskrzesz!...

(Gra jeszcze czas jakiś, potem w pianissimach kończy Preludyum i zamyśla się; Da-

niel patrzy na nią przez chwilę, zbliża się powoli i staje obok fortepianu.)

Daniel (powtarza przyciszonym głosem.)
Ach, nie budź mej myśli i serca nie
wskrzesz!

Laura (budząc się z zamyślenia.)
Co pan mówisz?

Daniel.

Nic, powtórzyłem prośbę poety. Ma słuszość; kiedy myśl śpi i serce śpi, życie jest lekkie, jak sen; tylko, że tak: "dobranoc" sercu powiedzieć nie łatwo. Czasami przymknie oczy i udaje, że usnęło.

Laura.

I po co?

Daniel.

Aby łudzić siebie i drugih.

Laura.

Czy to dobrze?

Daniel.

Dobrze, jeżeli tak być musi.

Laura.

Ach, jak bolesnym jest wszelki przymus,
a najboleśniejszym przymus serca!

Daniel.

Prawda...

Laura.

Tak mi się zdaje; sama nie potrzebowałam tego nigdy doświadczać. Wolno mi było kochać i być kochaną...

Daniel.

A to już wielkie szczęście na ziemi, bardzo wielkie!

Laura.

O tak! (zaczyna pierwsze takty Preludium.)

Daniel.

Jak widzę, Szopen jest zawsze jeszcze pani ulubieńcem; grasz go pani z temsamem zamiłowaniem, co niegdyś za czasów panieńskich.

Laura.

Niestety! odkąd poszłam za męża, odkąd się zaczęły moje obowiązki gospodarskie, macierzyńskie, — nie uwierzysz pan, jak zaniedbałam muzykę. Rzadko kiedy siadam teraz do fortepianu. Nie mam czasu... Poczciwy Ludek gani mi to ciągle; ale cóż robić? Przyznam się panu, że tak spowaźniałam w mojem nowem powołaniu, iż nie poznałbyś we

mnie owej dawnej panny Laury, która przepadała za Lenartowiczem i Szopenem. Dzisiaj, kiedy mam wolną chwilę, wołam się pobawić z moją Misją i prowadzić z nią poważne dysputy o jej lalkach, lub rozkoszować się jej figlami. Kochane moje dziecię!... Żebyś pan widział, jak ją do snu układają, co to za psoty wyprawiać umie: jak się to przekomarza, układa, zbytkuje! "Ucieszny błaznek!" — jak ją Ludwik nazywa. Ale ja pannu o tem mówię z całym samolubstwem matki, zapominając, iż dla kawalerów to ani zajmujący, ani zrozumiały temat do rozmowy.

Daniel.

O proszę, mów pani... Po trzech latach niewidzenia się każdy temat jest dla mnie równie zajmującym, jeżeli tylko pani i Ludwika dotyczy.

Laura.

Alboż to już trzy lata minęły, odkąd pan opuściłeś kraj?

Daniel.

Tak, tak! — zaraz po pani ślubie... trzy lata minęły, jak trzy dni; wróciłem ten sam tylko tu się wiele zmieniło.

Laura.

Jakże pan chciałeś?... Trzy lata: to kawał czasu. Patrz pan na mnie: co się ze mną stało!... Ani przypuszczałeś zapewne, że się tak zmienić mogę.

Daniel.

Rzeczywiście, cieszy mnie tylko, że ta zmiana tak pod każdym względem wypada korzystnie.

Laura.

Ludek mój narzeka, że się starzeję tu na wsi; powiada, że na naszych błotach zardezieję, jak stara strzelba. Ot, z panami zawsze trudno dojść do ładu! Żle wam w małżeńskim, źle w kawalerskim stanie...

Daniel.

Ja się nie skarżę; z moją wadą sercową żyję jak na popasie i czekam tylko, kiedy śmierć zaprzęgnie konie do karawanu.

Laura.

Co też pan mówisz, panie Danielu! — Jak można w takich razach żartować!

Daniel.

Lepiej żartować, niż martwić się i obawiać tego, co lada chwila przyjść może. Zre-

szta o mnie mniejsza, starych kawalerów nie braknie na świecie, a dla mnie do małżeństwa wszystkie rogatki pozamykane. Nie śmiałbym wziąć żony na to, aby z niej niespodzianie zrobić wdowę i na ślubną suknię może odrazu narzucić żałobę.

Laura.

Dlaczegoż zaraz takie przypuszczenia?

Daniel.

To nie przypuszczenia, pani, to wyrok poparty powagą lekarzy.

Laura.

Ach, nie mówmy o tem... to przykre.

Daniel.

Zapewne... Więc powiadasz pani, że Ludwik...

Laura.

Skarży się na pobyt na wsi, nudno mu tutaj; i ja się nawet nie dziwię. My, kobiety, w czterech ścianach domu męża zamknąć u miemy cały nasz świat; wy, panowie, tego nie potraficie. Wam, jak orłom, ciasno w domowych klatkach, choćby o złożonych szczeblach. Potrzebujecie przestrzeni!

Daniel.

Czyżby i Ludwikowi już było za ciasno?

Laura.

Nieinaczej: sąsiedztwa nie mamy, towarzystwa, oprócz księdza proboszcza i przypadkowych gości, jak pan — żadnego, ot! żyjemy jak na pustyni. Cóż dziwnego, że Ludwikowi, przyzwyczajonemu do wielkiego miasta, do gwaru, ruchu, zabaw, nudzi się w takiej pustelni! Ja sama, gdybym nie miała, domu, dziecka i... męża, zaziewałabym się chyba z nudów.

Daniel.

A przecież Ludwik ma także dom, dziecko i... żonę.

Laura.

Ba! dla mężczyzny — to co innego.

Daniel.

Nie spodziewałem się po pani tak po błazliwych pojęć o naszym rodzie. Wyznam wszakże, iż to nie bardzo bezpieczne przekonania dla żony.

Laura.

Dlaczego?

Daniel.

Dlatego, że mąż mógłby ich nadużyć.

Laura.

Może, ale nie mój!... Ludwik jest wzorem wiernych mężów, a choć trochę kaprysi, choć czasami poziewa — nie pomyśli nawet o nadużyciu wolności.

Daniel.

W istocie?... cóż pani taką pewność nadaje?

Laura.

Co?... on sam. Wiem, że jest człowiekiem szlachetnym, że poślubił mnie tylko z miłości, że nigdy nie zawiódłby mego zaufania; ja mu wierzę — to dość. Moja wiara jest dla niego tarczą, o którą każde pokuszenie musiałoby się rozbić. Jestem spokojną i szczęśliwą...

Daniel.

Chwała Bogu!

Laura (przebiera po klawiaturze i wpada znów na początek Preludyum.)

Ach, nieznośne palce; uwzięły się dzisiaj na tego biednego Szopena! Czy uwierzysz

pan, że to one same przypominają mi tak to "Wniebowzięcie", jak Ujejski nazwał moje ukochane Preludyum.

Daniel.

Uważałem tylko, że dzisiejszego wieczora powracałaś pani do niego kilkakrotnie. Nic dziwnego; ta melodia ma w sobie jakąś niebiańską pogodę, jakąś woń fijołków podczas księżycowej nocy.

Laura.

Oh, nie to tylko!... Ta melodia dla mnie osobliwie jest talizmanem miłości.

Daniel.

Jakto?...

Laura.

Wspomnienia najpiękniejszych chwil w mem życiu wiążą się z tem Preludyum; ono towarzyszyło pierwszej mojej rozmowie z Ludwikiem (opowiadając dalej, przygrywa sobie po cichu.) Nie było to wprawdzie tak romantycznie, jak w poezyi Ujejskiego, nie było księżycy na niebie, ani woni fijołków w powietrzu; ale był wieczór letni, cichy, jak ten, byliśmy we dwoje tylko przy fortepianie... ja grałam, a Ludwik mówił mi o swo-

jej miłości, o naszym szczęściu, — o tem, co obie nasze dusze marzyły, a co ja przelewałam w pieśń Szopena, on zaś w słowa pełne takiej wiary we mnie i w ciebie, w naszą przeszłość i w harmonią serc naszych! Dziwnie to piękna była chwila!... Potem, gdyśmy się pobrali, tu, na tem samym miejscu siadywa-
liśmy codziennie szarą godzinką na rozmowę. Była zima wtedy, śniegi spadły na łokieć, zasypały cały nasz dworek; żywej duszy, prócz nas dwojga i służby nie było w całym domu. Wtedy było nam najlepiej. Byliśmy sami i tylko dla siebie... i często w ciemnym pokoju ja siadałam do fortepianu, Ludwik przy mnie: ja grałam, on całował mnie po rękach i mówił, że jest najszczęśliwszym z ludzi!... Mój Boże! jakie to piękne były te nasze wieczory, a poczciwy Szopen nawet się nie spodziewał, że jego Preludyum będzie dla pary kochających serc całym słownikiem miłości i szczęścia... Potem jeszcze, potem... często przy nim usypiałam moją Misię, gdy zasnąć nie chciała. Nie zdziwisz się pan temu, że mimowoli wracam tak często do tej melo-
dyi, chociaż... w ostatnich czasach coraz rzadziej przypominam ją sobie i Ludwikowi.

Daniel.

O nie, nie dziwię się teraz — pani.

Laura (wstaje od fortepianu.)

Ale ze mnie wcale nie zabawna gospodyni! Od dwóch dni siedzisz pan już u nas, a słuchać musisz tylko moich zwierzeń; nudzisz się w naszym domowym zaciszu. Oj, rdzewiejemy, panie Danielu, jak powiada Ludek. Panu wracającemu z wielkiego świata, pociesznem wydawać się musi to nasze życie wiejskie na ustroniu, zabitem deskami. Gdyby nie pani Ewa, która zjechała na kilka tygodni do siebie, o pół milki tylko od nas, gdyby nie odwiedzała nas prawie codziennie, mogliśmy zapomnieć o całej Europie.

Daniel.

Alboż pani Ewa aż całą Europę przypomina?

Laura.

Oh, to bardzo światowa dama! Ja przy niej wyglądam, jak trusia i słucham tylko, gdy mówi. Dla mego Ludwika to prawdziwa rekreacja teraz; całemi godzinami rozmawiają z sobą na wyścigi.

Daniel.

Przepraszam, że spytam z prostej ciekawości: pani Ewa mężatka?

Laura.

To jest: tak i nie; ma męża i nie ma go. Żyli z sobą długi czas za granicą, w Paryżu, we Włoszech; podobno nawet rozchodzili się kiedyś, ale teraz pan Seweryn — właśnie mąż pani Ewy — wyjechał gdzieś za interesami do swoich dóbr na Ukrainę i od roku prawie nie wraca. Zresztą nie znam tak dokładnie tych stosunków. Ludwik to panu lepiej opowie.

Daniel.

To zapewne nowa znajomość pani?

Laura.

Moja — tak, ale mąż znał ją podobno jeszcze za kawalerskich czasów. A panu jak się podobała?

Daniel.

Czy mogę być szczerym?

Laura.

O, koniecznie!...

Daniel.

To powiem, że wcale nie. Jest zanadto... niebezpieczną, jak na kobietę.

Laura.

Jak to pan rozumiesz?

Daniel.

Chciałem powiedzieć, że ma za dużo broni zaczepnej i odpornej. Na jej czole i w oczach zdają się świecić te Cezarowe wyrazy: **veni, vidi, vici!** Kobiety takie przyzwyczajone do zwycięstwa bez oporu, nie zsiadają z tryumfalnego wozu, który je wiezie drogą życia, ciągniony przez tłumy niewolników; tak się przyzwyczajają brać cudze serca, że o swoim własnym zapominają zupełnie i nie oddają go nikomu. Są to Molochy miłości, żadne ciągle nowej ofiary.

Laura.

Jaki z pana surowy sędzia!

Daniel.

Nie darmo zowie się Danielem; chociaż dotąd nie siedziałem nigdy jeszcze w lwiej jamie, przysiadłem się już do niejednej lwicy w arenie wielkiego świata i stąd znam je lepiej od innych.

Laura.

Bądźcobądź, pani Ewa jest niepospolitą kobietą.

Daniel.

Czy i Ludwik zdanie to podziela?

Laura.

On przedewszystkiem, a Ludwik zna się na tem. Pan wiesz najlepiej, jaki to był pogromca serca za swoich... gladyatorskich czasów w salonach.

Daniel.

Oh, pamiętam, pamiętam! Zwycięski gladyator opierał się najsroższemu lwicom, a dał się pokonać...

Laura (z uśmiechem.)

Potulnej owieczce — chcesz pan powiedzieć?

Daniel.

Nie — łagodnej gołębiczy.

Laura.

Ach, przyznam się panu, że komplement nowy i oryginalny.

Daniel.

To nie komplement, to prawda.



Laura.

Ale, a propos gołąbka: przypomniał mi się Lolo pani Ewy. Prawda, jakie to śliczne dziecko!... Wczoraj, gdy popołudniu deszyk rosić zaczął, gołębie nasze schroniły się pod okna oranżeryi i zmoczone otrzepywały piórka z wody; Lolo, widząc to — przybiega do matki, zaczyna ją ścikać za kolana, całować po rękach i prosić... zgadnij pan o co?

Daniel.

Aby gołąbki wpuścić do pokoju?

Laura.

Gdzie tam — aby im wynieść parasol!... Prawda, jakie to naiwne, ale jakie przytem ujmujące! Złote ma serce ten malec, tylko za czułe. Uważałeś pan, jakież ma śliczne, smutne oczy — zupełnie odmienne od oczu matki. Pani Ewa powiada, że będzie z niego wielki mazgaj, gdy podrośnie.

Daniel.

Pani Ewa nie lubi smutnych... dzieci.

Laura.

Wogóle nie bardzo lubi dzieci: utrudzają ją zanadto. Mój Boże, jakby to dziecko

matkę utrudzić mogło!... Ja przy chorej Misi siedziałam dwa tygodnie po całych nocach nad kotłowską i... ale, ja znów mówię o sobie. Ah, przepraszam pana, przepraszam, już nie będę więcej.

Daniel.

O, pani!...

Laura.

Ludek zburozałby mnie za to, gdyby słyszał naszą rozmowę; ale, co to się znaczy, że go jeszcze niema do tej pory? Ściemniło się zupełnie, czas podać do herbaty... wybacz pan, że go zostawię samego na chwilę. Ot, przejrzyj pan ostatnie pisma ilustrowane i książki, które mi przysłano z Warszawy. Może się z niemi lepiej zabawisz, niż ze zdziczałą, wiejską gospochą... do widzenia za chwilę!

Daniel (kłania się odchodzącej Laurze, potem idzie ku otwartemu oknu i oddycha głęboko.)

Mój Boże... i ja mogłem być szczęśliwym!...

SCENA II.

Daniel (sam.)

Trzy lata przygłuszyły w sercu chorem tajoną miłość. Nie chciałem ryzykować, nie

chciałem uczynić jej nieszczęśliwą... Ha! może się i lepiej stało. Powiedział ktoś, że z zabitej miłości rodzi się inne jakieś, szlachetniejsze uczucie. Musi to być prawda... doświadczam tego sam na sobie: Zdaje mi się, że kocham ją jeszcze, ale już nie tą miłością gorącą, pełną żądz i pragnień, tylko jakąś cichą, spokojną, miłością brata... Szczęście jej sprawia mi dziwną radość... Przed trzema laty musiałem uciec stąd, aby nie ranić serca jej widokiem; dzisiaj z uśmiechem pogody słucham jej spowiedzi, jej zwierzeń serdecznych z pożycia małżeńskiego; i dałbym nawet resztkę tego życia, aby jej kilka jaśniejszych promieni dorzucić, jeśliby ich potrzebowała (po chwili.) Ale czy potrzebowała by kiedy?... Tak tu ciepło, lubo, swojsko, w tej atmosferze domowego szczęścia... Kocha Ludwika i jest kochaną... jest?... chyba inaczej być nie może. A jednak Ludwik wydaje mi się trochę zmienionym; to zachowanie się względem owej pani Ewy, te wycieczki samnasam, ta poufalskość jej dla niego... Może się mylę... powinienem się mylić koniecznie... zobaczymy zresztą... No, sza, serce!... umiałoś dochować tajemnicy dotąd, nie kuś się teraz gdy już na wszystko

zapóźno! (po chwili.) Śliczną noc będziemy mieli, — co za rozkoszny zapach sianozęci płynie od łąk! (opiera głowę o okno.) Dobrze mi tu!... Co to? (wychyla się przez okno, spojrzawszy, cofa się do salonu i zpoza firanki wygląda przez chwilę, potem odchodzi ku stolikowi śpiesznie.) Więc nie omyliłem się?!

SCENA III.

Daniel, Ewa (wsparta na ramieniu Ludwika, wchodzi, śmiejąc się wesoło.)

Ewa.

Zawsze ten sam bałamut z pana, zawsze idący przebojem...

Ludwik (spozstrzegając Daniela, kładzie palec na usta i daje jej znak milczenia.)

Ale przyznaj pani, że ciężone ze mnie wyborny. Jak się masz, Danielu?

Daniel (kłaniając się Ewie.)

Witamy!

Ewa.

Ah, pan tu?

Ludwik.

Cóż, mój filozofie? — masz jakąś minę chmurnego Jowisza; wyglądasz po dwóch dniach pobytu z nami na wsi, jak istny Jupiter pluvius.

Daniel.

Nie zważaj na to. I słońce traci blask swój, gdy je chmura zasłoni.

Ludwik.

Więc odgadłem rzeczywiście, żeś zachmurzony?

Daniel.

Może.

Ludwik.

Czy wolno spytać: dlaczego?

Daniel.

Pytać wolno, ale wymagać odpowiedzi — jeszcze nie.

Ludwik.

Ah, zaczynasz mnie rozciekawiać...

Daniel.

Czy być może?... sądziłem, że mi się to tylko u kobiet dotychczas udawało, ale u mężczyzn...

Ewa (z śmiechem.)

Nie wielkiej pan sztuki dokazałeś; my kobiety jesteśmy uosobnioną ciekawością z natury. Ja np., przynaję się otwarcie, jestem tak ciekawą, że byłabym gotową...

Daniel.

Wyjąć żywe serce, aby się przekonać, co zawiera.

Ewa.

O, tak okrutną nie jestem, bałabym się... powalać sobie palce krwią.

Daniel.

To też panie — mówię wogóle — zabijacie serca, jak się gołębie zabija: dusicie je...

Ewa (śmiejąc się.)

Oryginalne spostrzeżenie pan zrobieś; czy to na sobie?

Daniel.

Nie, na drugich. Moje serce było dotąd przedmiotem studyów... dla lekarzy jedynie.

Ewa.

Ah, prawda! — opowiadał mi właśnie dzisiaj coś o tem pański przyjaciel, p. Ludwik, gdyśmy zwiedzali ruiny starego zamku.

Daniel.

Tak?... byliście państwo w ruinach?

Ludwik.

Pani Ewa chciała poznać trochę osobliwości naszej okolicy, więc zaczęliśmy od ruin.

Daniel.

Lepiej od nich zaczynać, niż na nich kończyć...

Ludwik.

Dziwnie sentencyonalny jesteś dzisiajszego wieczoru.

Ewa.

Czy to środek większego rozciekawienia?

Daniel.

Może... (do Ludwika) Czy posłaniec z poczty powrócił?

Ludwik.

Powinien był powrócić.

Daniel.

Pójdę zobaczyć... (kłaniając się Ewie.)
Pani...

Ewa.

Panie...

Daniel.

Będę w twoim pokoju, Ludwiku; gdybyś mnie potrzebował...

Ludwik.

Zobaczmy się przecież przy herbacie?...
(Daniel odchodzi).

SCENA IV.

Ewa — Ludwik.

Ewa.

Ten pański przyjaciel zdaje się mieć łuk w ustach, a zamiast języka kołczan ze strzałami.

Ludwik.

Broń Boże, dzisiaj tylko coś mu tak wyjątkowo humor zepsuło. W gruncie jest to najzaczniejsza natura i najszlachetniejszy charakter, jaki mi się spotkać zdarzyło. To materiał na bohatera romansu.

Ewa.

Pan-bo jesteś optymistą wogóle. (siada.)

Ludwik.

Nie — tylko co do kobiet; ale pani podkopujesz mój optymizm.

Ewa.

Czy dlatego, że bronię się wszelkimi siłami, aby nie okazać się... słabą, jak inne?

Ludwik.

Przypuśćmy, że i dlatego.

Ewa.

Myślałam, że pan człowiek wyższy, poczytasz mi to za zasługę. Wyrzucacie nam na każdym kroku naszą słabość, a gdy która chce być silniejszą, bierzecie nam to za złe. (Podając mu rękę). Rozepnij mi pan rękawiczkę!... Jestem tak znużona, oszołomiona tą dzisiejszą przechadzką, wrażeniami, rozmową...

Ludwik . (rozpina rękawiczkę powoli.)

I rozmową?

Ewa.

Ach, nią najbardziej!... Co też mi pan nagadałeś w ruinach! jeśli tam są jakie duchy, co mają przynajmniej uszy, to ze zgorzenia wyniosą się ze starych murów raz na zawsze. Gdyby tam nie było Lola z nami...

Ludwik (całuje ją w dłoń.)

Ewa.

Znowu?...

Ludwik.

Dziękuję za robotę...

Ewa (podając mu drugą rękę.)
I prosisz o drugą?...

Ludwik.

Żałując w tej chwili, że nie jesteś pani, jak bóstwo indyjskie, o kilku parach rąk, które mógłbym z tych więzów uwalniać.

Ewa.

I całować?...

Ludwik.

Czy w tem coś dziwnego?... Ręka pani jest arcydziełem natury.

Ewa (wrywając rękę.)

Stare bajki! mój panie. Chyba pan nie wiesz, że pewien rzeźbiarz we Włoszech odlewał moje ręce w gipsie?... był to hołd oddany im przez fanatyka-artystę. Po tem uwiecznieniu nie mówi się już więcej o moich rękach.

Ludwik.

Więc o czem jeszcze wolno mówić przy pani? O sercu swoim zabroniłaś mi już wspominać.

Ewa (z westchnieniem.)

O mojem sercu?, albo ja mam jeszcze serce? Było tam coś kiedyś, kołatało się, rwało i... zaniemniało. Eh, nie mówmy o tem.

Ludwik.

Dlaczego?

Ewa.

Dlatego, że umarłych się nie budzi...

Ludwik.

Widocznie wyznajesz pani zasadę poety:
"Gdy na dziewczynę zawołają: "Żono", już ją żywcem pogrzebiono."

Ewa.

Nie, bo wiem, że są nieboszczki, co z takich grobów zmartwychwstają; ale to już marylko, którym nie wolno w jasny dzień pokazywać się przed ludźmi. Lepiej leżeć spokojnie i udawać letarg, jeżeli się naprawdę nie umarło.

Ludwik.

Ale jeśli się ma prawa do życia, jeśli się czuje do niego pragnienie, jeśli się ma więcej, niż prawa, bo przywileje do szczęścia, tak, jak pani?

Ewa (powstając.)

Panie Ludwiku, nie mówmy więcej o tem (przechadza się wzburzona!) Zapisanem było widocznie w wyrokach mego losu, abym została żywcem zagrzebaną, wydziedziczoną ze wszystkiego, nawet z kilku chwil rozkosznego marzenia, nawet z przyjacielskiego uścisku ręki i słowa współzucia. Nie — nie mówmy o tem... (po cichu). Wyznałam panu tajemnicę mego życia, panu jednemu odkryłam tę okropną, cmentarną pustkę w mem sercu, które od najpierwszych lat przejrzenia domagało się miłości prawdziwej, głębokiej, bezinteresownej. A tymczasem świat dał mi... (z gorzkim uśmiechem) trochę kłamanych afektów, dużo hołdów, kadzidła, dymu, kłamstwa i fałszu. Los rzucił mi pod nogi puste głowy słoneczników salonowych, którzy się za mną, jak za słońcem, zwracali, — za słońcem, co ich zapalało i oślepiało swym blaskiem. Ale mnie nie tego trzeba było.

Ludwik.

A mąż?

Ewa.

Mój mąż?... znał moją hypotekę lepiej od mego serca, w które nawet zajrzeć nie ra-

czył, ani przed ślubem, ani po ślubie. Kazali mi wybierać: więc wybrałam jego, bo lepszych nie miał rywali.

Ludwik.

A dziecko?

Ewa.

Dziecko?... no, tak! ale dziecko kocha się miłością, którą musi podniecić miłość dla ojca jego, a jeżeli... ale poco ta rozmowa? Zostaw mnie pan taką, jaką jestem. Jaką mnie świat chciał mieć, taką mnie ma... (Przechadza się wzburzona, nucąc po salonie.)

Ludwik (siadł w fotelu i zamyślił się—Chwila milczenia.)

Ewa (zbliżyła się i listkami róży, którą miała u gorsu, obrzuca go.)

O czym-że tak?

Ludwik (przebudzony z zamyślenia.)

O pani (ujmuje jej rękę i do ust przyciska.) Szukałdm wyrazu, któryby był samą prawdą i zaklęciem dla pani... serca w le-targu.

Ewa.

I miałbyś pan odwagę wypowiedzieć go?

Ludwik.

Miałbym.

Ewa.

Szalony!

Ludwik.

Zapewne, ale ten szal pani zaszczepiłaś w moje zmysły. O, powiedz, powiedz: za takie słowo, któreby duszę twoją zbudziło do nowego życia, co byś oddała?... powiedz!

Ewa (wpatruje się mu w oczy przez chwilę, potem półgłosem mówi.)

Wszystko! (odchodzi spiesźnie w głąb.)

Ludwik.

Ha!... Mamże wierzyć?

Ewa.

Do woli... (idzie do fortepianu, siada zmęczona, przerzucając w roztargnieniu nuty leżące na pulpicie.)

Ludwik (podąża za nią, staje obok, z uczuciem głębokim.)

Pani Ewo!... Ta chwila jest przełomem w mojem życiu; czuję, że się coś straszego

we mnie dzieje, jakiś chaos budzi się w mej przepełnionej piersi. Pod wpływem tego czaru, który mną opanował, odkąd odezwałaś się do mnie swą skargą, jak echem z poza grobu, ja... ja przestaję panować nad sobą i drżący, jak dziecię staję, aby ci powiedzieć, że cię...

Ewa.

Panie Ludwiku! zaklinam pana... (uderza w klawisze i zaczyna grać początek Preludjum A-dur). Ja nie chcę słuchać cię więcej!

Ludwik (zatrzymuje się, nasłuchując, potem z jękiem zasłania sobie oczy i odwraca się od Ewy.)

Boże!... to Preludjum, teraz właśnie...

Ewa (spostrzegłszy jego pomięszanie, nie przestając grać dalej.)

Co to znaczy? co się panu stało?...

SCENA V.

Ciż i **Daniel** (który podczas ostatniej rozmowy stanął we drzwiach w głębi, podchodzi spokojnie bliżej i badawczo, przenikliwym spojrzeniem obrzuca Ewę i Ludwika.)

Daniel (do Ewy.)

Co mu się stało? Ja zgaduję, a jeśli pani pozwoli, wyręcę go w odpowiedzi.

Ewa (przerywając grę.)

Pan? (wstaje.)

Daniel (siłąc się na spokój i obojętność.)

O proszę, nie przerywaj pani sobie tej pięknej gry, tak w porę wybranej. Dla Ludwika to Preludjum ma urok nieprzeparty. Proszę, graj pani dalej. Mój przyjaciel jest fanatycznym wielbicielem Szopena, a z pod pani rąk, ta melodia właśnie tak przedziwnie zabrzmiała. Dziwny traf, nieprawdaz Ludwiku? Mój Boże! jak widzę, bardzo niewłaściwie przerwałem ten koncert mojem zjawieniem się i zepsułem wrażenie tak miłe i podniosłe. (do Ewy) Czy uwierzy pani, że to Preludjum odgrywa bardzo ważną rolę w życiu mego przyjaciela, że jest niejako zaklęciem, które budzi w jego sercu wspomnienia, najpiękniejsze w życiu (z naciskiem) szlachetnego mężczyzny.

Ewa.

Jakież to?

Daniel.

Wspomnienia miłości.

Ludwik.

Danielu!

Daniel.

O pozwól, będę szczerym, to takie piękne i poetyczne, że ci tylko zaszczyt przynosi, a pani Ewie należy się przecie wyłumaczenie (do Ewy). Ludwik był zawsze trochę entuzyastą i szukał niezwykłych wrażeń w życiu, ale z tą miarą ludzi uczciwych, którzy kochają, co piękne i co... dobre zarazem; a dla takich ludzi nawet piękne wrażenia mają coś świętego, coś — co w ich duszy zostawia niezatarte ślady, jak dłuto mistrza na alabastrze. Nie zdziwi to pani teraz, że dotknąwszy palcami klawiszów, zagrałaś jednocześnie na duszy Ludwika i w tem cudownem Preludyum Szopena przypomniłaś mu cichy szept pierwszego wyznania miłości, rozkoszne chwile marzeń przy boku kobiety, która mu oddała wszystko, co dać może młodość i świeżość wdzięków i uczucia; długie zimowe wieczory samnasam z ukochaną; te pierwsze drgnienia serca, które upojone miłością, marzyło o raju na ziemi i myślała, że żadnych pragnień więcej mieć nie będzie; przypomniłaś kochankowi miłosne gruchania, mężo-

wi pogodne miesiące miodowe, ojcu kotysankę pierwszego dziecka... Czyż może teraz panią dziwić wzruszenie Ludwika, gdy posłyszał tę samą Szopenowską pieśń, którą mu tak często grywała — jego żona przed ślubem i po ślubie?

Ewa.

Pani Laura? ah!... (hamując się.) Więc nie chcący natrafiłam na prawdziwy, serdeczny ton pańskiego przyjaciela (na stronie.) A, to niezręczność!

Daniel.

Czy chcący, czy niechcący, w każdym razie bardzo szczęśliwie.

Ewa (złośliwie.)

Jeżeli się nie mylę, Ujejski to Preludyum nazwał "Wniebowzięciem"; pan Ludwik, gdyby był sam kompozytorem, mógłby mu dać właściwszy tytuł: Souvenir de la lune de miel, albo coś w tym rodzaju.

Daniel.

Z koniecznym wszakże dodatkiem: *Tout les droit reserves.*

Ewa (z przekąsem.)

pan podjąłbyś się zapewne roli... stróża tych praw zastrzeżonych?

Daniel.

Czybyś pani nie była zwolenniczką—przywilejów?

Ewa.

I owszem — własnych!

SCENA VI.

Ciż i Laura (wchodzi spiesznie głębia, niosąc Lola na rękach.)

Laura.

Ach, jesteście państwo razem? Proszę spojrzeć tylko, co to znalazłam na tarasie! (do Ewy) Biedaczek pani usnął ze znużenia po spacerze. A jak też twardo śpi! Zabrałam go sama na ręce. Cicho, cicho! nie budzić go! Żebyście byli widzieli, co to za śliczny obrazek można było zrobić z Lola w tej pozie, w jakiej go zastałam! Wiesz, Ludku, gdzie się ułożył? przy naszym kamiennym sfinksie na tarasie. Biedaczek mój (całuje go zlekka w głowę). Zazdroszczę pani takiej pociechy. Ale

trzeba go odnieść do dzieciennego pokoju, niech się prześpi przed odjazdem.

Daniel (podechodzi, chcąc zabrać Lola.)
Pozwoli pani.

Laura.

O nie, nie — ja to sama zrobię; moje ręce przyzwyczajone do takiego ciężaru (przechodząc obok Ludwika, patrzy mu czule w oczy.) Cóż to? mój pan ma takiego marsa na twarzy? czy nie kontent z czego? Proszę się ze mną przywitać i przyprowadzić zaraz naszych gości na herbatę. Musicie być głodni! (Ludwik całuje ją zlekka w czoło.) Czekam (wychodzi na lewo.)

Daniel (do Ewy.)

Co to za rozkosz być... dobrą matką.

Ewa.

Zapewne! (zaciśnawszy usta, chwilę waha się, potem zmierza ku drzwiom na lewo, zatrzymuje się i bardzo chłodno mówi do Ludwika.) Nie chcę państwu robić ambarasu: czas nam z Lolem do domu, każ pan z łaski swojej zająć naszemu stangretowi (ciszej) Będę teraz częściej grywała Szopena na pańską pamiętkę (wychodzi, tłumiąc nerwowo śmiech — na lewo.)

SCENA VII.

Ludwik i Daniel.

Daniel (przez chwilę patrzy na Ludwika, który ze zwieszoną głową oparł się, zamyślony, o stół; potem odzywa się zniżonym głosem.)

Ludwiku — domyśliłem się wszystkiego. Ta kobieta była twą Ewą, twem pokuszeniem w raju małżeńskiego pożycia. Los sam powstrzymał cię nad przepaścią, ale strzeż się! Dzisiaj kilka taktów uświęconej wspomnieniem pieśni wyrwało się z szafu. Oh, nie zapieraj się! słyszałem coś do niej mówił; zresztą widziałem z tego okna, jak ją niebacznie chciałeś w skroń pocałować, gdyście wstępowali na wschody tarasu. Wiesz, że mam za bystre oko, i za wiele doświadczenia w życiu, abym się po takich pozorach mógł jeszcze pomylić. Pani Ewa jest kobietą niebezpieczną, nawet dla takich jak ty — ludzi; ale powiedz, czy warto poświęcać dla niej uczciwość męża, zaprzeć się głosu własnego sumienia, przysiąg czystego serca i za co? — za kilka chwil upojenia, szafu, zmysłowej uciechy... To szczęście kradzione, jak owoc Martwego Morza, ma tylko pozór łudzący, ale wewnątrz... popiół sam. Takie kobiety nikomu, ani sobie

— szczęścia i pokoju dać nie potrafią. To piękne ćmy o świetnych barwach; krążą wiecznie około płomienia i giną w płomieniu, podciągając nas za sobą. Nie tobie unosić się nad nimi litością i ratować je przed przeznaczeniem takim!... Ty inne masz obowiązki. Wybacz, że mówię do ciebie głosem sędziego w tej chwili, ale mam potemu trochę prawa. Wiesz, że kiedyś... kochałem i wyrzekłem się dla ciebie mej miłości, pod warunkiem, iż uczynisz Laurę szczęśliwą. Wierzyłem ci i ufałem, boś na to zasłużył — zresztą los sam sprzyjał więcej tobie, niż mnie, dając ci wzajemność. Pomyśl: czy dla takiej żony, jak ona, ty — człowiek szlachetny, człowiek honoru, możesz być mężem wiarołomnym? Ludwiku! takiej krzywdy nie śmiałyś jej i swemu dziecku wyrządzić. Trzeba mieć siłę odparcia pokus, choćby w najszlachetniejszych obsłonach — jeśli się nie chce zostać nieszczęśliwym na całe życie, lub — zbrodniarzem! Czy wiesz, że twoją żonę zabiłoby samo podejrzenie, iż ją kochać przestajesz? ona nawet przypuścić nie śmie, iż jej wybrany, jej mąż, mógłby zdradzić jej miłość. Mówię ci to, jako ostatnią przestrożę, Ludwiku. Jutro pożegnam was, może na zawsze... ale

zaklinam cię, nie narażaj, nie marnuj lekko-
myślnie jej i swojego szczęścia, bo ono, jak
kwiat wiosenny, raz żądłem owadu ukłuty,
zwiędnąć-by już musiało na wieki!...

Ludwik (po walce wewnętrznej z sobą, z
przymusem i wyrazem niechęci.)

Rozumujesz, jak ideolog, moralista, któ-
ry tylko teorię życia zna dokładnie... Nie
znasz zresztą pani Ewy!... to kobieta nie-
pospolita, czarująca, wyjątkowa. Od niej za-
wraca się w głowie, jak od haszyszu.

Daniel (który go obserwował, ze smutnym
uśmiechem.)

Powiedz raczej, jak od ponczu. Haszysz
usypia i daje marzenia, poncz tylko upaja i
rozpala: uderza do głowy, nie tykając serca.

Ludwik.

Dlaczegoż przypuszczasz, że u mnie je-
dynie głowa zajęta?

Daniel (spokojnie, ale z naciskiem.)

Głowa i... zmysły: przecież jej nie ko-
chasz?

Ludwik (po chwili wahania.)

Kto wie!...

Daniel.

Co?... (miarkując się) A zatem jest go-
rzej, niżeli przypuszczałem. Kochasz ją?...
To niepodobna... zdaje ci się tylko, nie wię-
cej.

Ludwik.

A gdyby w istocie tak było... znajdź dro-
gę wyjścia takiej kolizji. Radź!... jesteś
samą rozwagą i rozumem! Cóż na to powie
twoja teoria życia?... Słucham.

Daniel (spoglądając mu bystro w oczy.)

Uczciwemu mężczyźnie odpowie — ho-
nor i sumienie!...

Ludwik (spuszczając oczy, nie mogąc znieść
jego wzroku.)

Daniel (po chwili.)

Miałeś odwagę zapomnieć o swoich o-
bowiązkach, o uczciwości, o przysiędze u oł-
tarza, o prawach kobiety, która ci całą duszę
swą oddała, miejże odwagę teraz wyrwać ją
z tych złudzeń i skoro sądzisz, że kochasz
tamtą, a tę kochać przestałeś (zatrzymuje się
i niemal rozkazująco mówi z siłą) nie zwódź

dłużej nikczemnie i małodusznie żony, wyznaj jej prawdę!... powiedz w oczy, że kochasz inną!...

Ludwik.

Mam jej to wyznać?... dlaczego?...

Daniel.

Abyś był w zgodzie z samym sobą, z Bogiem i prawdą!...

Ludwik (zmieszany coraz bardziej.)

Ależ to niepodobna!... to niemożliwe.

Daniel.

A zwodzić ją i zdradzać to możliwe?... to godne honoru i uczciwości mężczyzny?... (sposzregłszy za drzwiami zbliżającą się Laurę) Patrz!... otóż ona!... mów!... Nie wahał się, jeżeli kochasz ramtą!

(Ludwik stoi przygnębiony i niezaradny.)

SCENA VIII.

Ciż i Laura (wchodzi.)

Laura (swobodnie.)

A bardzo ładnie!... pozwoliłeś odjechać pani Ewie, nie wsadziwszy jej nawet do po-

wozu. Grzeczny gospodarz z ciebie!... Zagadaliście się tu panowie we dwójkę, zapomniawszy zupełnie, o obowiązkach względem dam. Pani Ewa musiała się czuć tem nawet dotkniętą, bo miała jakąś dziwnie skwaszoną miękę. (Przychodzi do fortepianu, by uporządkować nuty i zamknąć klawiaturę.) Mnie się zdaje, że jej to słomiane wdowienstwo ciężyc trochę zaczyna!... Wiesz, co mi powiedziała na wyjeździe?... przyznała mi się, że ją nasze szczęście małżeńskie... Ale co tobie się stało?... Jesteś jakiś zmieniony. Czyś ty się nie przeziębził, Ludku?... Wieczór dziś chłodny... Łudeczku, co tobie?... (zbliża się do niego zaniepokojona z wyrazem czułości.) Czemu tak milczysz?...

Daniel (który nie spuszczał oka z niego.)

Milczy, bo ma na ustach słowa, których mu przy mnie trudno wymówić. (Z naciskiem do Ludwika) No, dalej!... nie ociągaj się dłużej. Wszak miałeś pani coś do powiedzenia!... Jeśli przeszkadzam... (chce odejść) odejdę.

Ludwik (do Daniela półgłosem.)

Zostań!

Laura.

O, my przed panem nie mamy żadnych tajemnic!... wszakże pan pierwszy znałeś naszą najpierwszą tajemnicę, gdyśmy sobie miłość wyznali wzajemnie i pamięta pan, kiedy to mi Ludwik powiedział po raz pierwszy: "kocham panią" ja jeszcze z oczyma od płaczu czerwonymi, przybiegłam się panu zaraz zwierzyć z tego. Ale ja wtedy płakałam z radości i zbytku szczęścia, a pan miał także łzy w oczach. O, nie zapieraj się pan, widziałam!

Daniel (półgłosem do Ludwika.)

Wyznajże jej teraz, żeś ją kochać przestał!...

Laura.

Co mu pan tam złośliwego o mnie szepcesz do ucha?... Bardzo proszę mi męża nie buntować.

O, ja go namawiam jedynie do dobrego!... powiedz Ludwikowi!

Laura.

Alboż on do złego jest zdolny?... prawda Ludku, że tybyś mi nic złego nigdy nie mógł uczynić?... (przytula się do jego pier-

si). Tu mi najlepiej i najbezpieczniej na całym świecie! przy twoim boku!... Czy ty będziesz ciągle tak milczał?... Wszak miałeś mi coś powiedzieć?...

Ludwik (jakgdyby się ocknął z przykrego snu)

O, nie, nie!... to już przeszło!...

Laura (pieszczotliwie, ale z prostotą.)

Mój pan jest jakiś rozkapryszony dzisiaj, jak drugi Lolo!...

Ludwik.

Chciałbym cię tylko prosić...

Laura.

O co?... mów! mów!... natychmiast spełnię, choćby to było coś najtrudniejszego.

Ludwik (ciepło, choć nieśmiało.)

Chciałem cię prosić, abys mi zagrała — nasze Preludyum.

Laura.

Tyle tylko?... Ależ to taka drobnostka! Możeby jednak po herbacie dopiero... Samowar już na stole...

Ludwik.

Nie... teraz, zaraz... chcę je usłyszeć!...
to mnie do reszty uspokoi.

Laura (patrzy na niego przez chwilę, jakby
go chciała wyrozumieć.)

Do reszty uspokoi?... toś ty był niespo-
kojny?... A ja tego nie spostrzegłam, nie
przeżyłam?... Co ci było Ludku?... przy-
znaj mi się!

Ludwik.

Nie, nie... nie teraz! (prowadzi ją do
fortepianu.) Zagraj wpierw to zaklęcie na-
szej miłości i naszego szczęścia!...

Laura (siadając do fortepianu.)

No, no!... jest mi jakoś tak, jakby bu-
rza przeciągnęła nad moją głowę. (Zaczyna
grać to samo Preludium, co na początku
sztuki.)

(Ludwik z wyrazem głębokiego wzruszenia
zwraca się ku Danielowi, podając mu obie rę-
ce i poza plecami Laury niespostrzeżenie ści-
ska go gorąco, z wdzięcznością, pokonany.

Niema gra pomiędzy nim a Danielem. Daniel
go uspokaja i daje znaki milczenia, wskazu-
jąc głową na grającą Laurę, jakgdyby mówił:
Ostrożnie!... żeby się nie domyśliła!... Mu-
zyka trwa dalej!...

Kurtyna powoli spada.

KONIEC.



201

Biblioteka Główna UMK



300043343532

Biblioteka Główna UMK



300043343532

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

940771

W. H. SAJEWSKI

Skład Książek Teatralnych,
Powieściowych, Religijnych
i t. p.

Największy wybór nut na wszel-
kie instrumenta.

Skład wszelkich instrumentów
muzycznych i przyborów.

Skład Aparatów Fotograficznych
i Przyborów.

1017 Milwaukee Ave., CHICAGO

